



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 1874

g. 1860

Juliusz Kaden-Bandrowski 189 1860

Wyczółkowski u Komendanta 1874 na podwieczorku

Wspomnienie o Wyczółkowskim znalazło się wśród wspomnień o żołnierzach, czy działaczach, idących w promieniu Piłsudskiego. Może to zdziwić. Oni czyn, walka, akcja, podziemne życie, on, Wyczółkowski, cisza, prostota, kontemplacja, istne marzenie wzroku. Skąd że to cichy człowiek sztalugi, którego jedynym orężem było pudełko z farbami, znalazł się pomiędzy ludźmi w szarych mundurach, którzy porzucili właśnie pióra, pędzle, czy dłuta, by walczyć karabinem, granatem ręcznym, podówką lub haubicą?!

Znalazł się tu, bo przecież w życiu także znalazł się był po prostu z nimi w tymże mundurze strzeleckim. Jak się stało, że ten człowiek kwiatów, wody, murów, światła i mroków, człowiek samego patrzenia, oderwał się od świata swojego i w r. 1916 przybył nagle na pozycję I-lej Brygady na Wołyni, do Piłsudskiego, tego nie wiem dokładnie. Pamiętam jednak, że któregoś dnia czerwcowego officer dyżurny spytał Komendanta, kiedy zechce przyjąć Wyczół-

kowskiego; pamiętam również, że Komendant odpowiedział: — Poproście go na podwieczorek.

Kto się znał na zwyczajach Piłsudskiego w życiu polowym, ten z zaprosin na podwieczorek mógł od razu wyrozumieć, że gość jest mile widziany i że Piłsudski chce ze swym gościem swobodnie porozmawiać. Podwieczorek w układzie życia obozowego znaczył więcej niż obiad, czy kolacja. W czasie obiadu towarzyszyło Brygadierowi dość liczne grono oficerów, trudno więc w tych warunkach o bliższą rozmowę. Kolacja, ze względu na wieczorne odprawy i komunikaty, nigdy nie było wiadomo, jak wypadnie. Na kolacji bywali raczej dowódcy pułków, czy batalionów, z którymi później w nocy trwały ważne rozmowy. Podczas podwieczorku natomiast oficerów przy stole mniej, gdyż się do pułków rozjeżdżali. Komendant zaś był na ogół w dobrym humorze, jako że pił „mnóstwo“ herbaty i palił papierosy, niejako bez kontroli.

Gdy myślę dzisiaj o sposobie bycia

Piłsudskiego w obozie podczas wojny, gdy szukam porównania, które by ułatwiło zrozumienie owego tonu, obyczaju, jaki stworzył Komendant w swoim wojsku, nie znajduję innego porównania, jak tylko z conradowskimi powieściami. Jak to tam gdzieś, pod zwrotnikiem, czy też na wyspie jakiejś jest taki wódz ze swym walecznym szczepem... Jak cała dusza tego szczepu w wodzu się objawia, jak to tam ustanowili pomiędzy sobą rycerskie, proste a zarazem przedziwne obyczaje, których obcy zrozumieć nie mogą.

Zaprawdę, nie było na postojach Piłsudskiego żadnych palisad, czy ostrokołów odgradzających szczep Komendanta (czyli I-ą Brygadę) od innych sześciuset brygad rozciągniętych od Bałtyku po Morze Czarne. Ale marzenie, które tu żyło, wcieliło w jednego człowieka silniejszą moce, choć niewidoczną tworzyło granicę między obozem Piłsudskiego a całym innym światem, niż wysokie i nie wiedzieć jak grube palisady.

Pewno w Nowej Rarańczy, na Wołyniu, gdzie za chwilę miał wyjść do podwieczorku ze swej ziemianki Piłsudski takie samo świeciło słońce (wiosna to była i lato tego roku, istne чудо!) jak zaraz dalej na lewo u honwedów, czy na postojach niemieckich rezerw. To samo słońce,

pomarańczowe w koronach sosen, niebieskie na białych, mlecznych łąkach, brylantowe na łachach piasku, fioletowe w cieniach olszyny. To samo słońce i ten sam szum wielkiego lasu i ten sam chrzęst obozowiska, a zarazem wszystko odmienne. Jakież wyższe, świetlejsze, jak kiedy przebywa między ludźmi człowiek promieniejący tajemnicą geniuszu.

Czekaliśmy przy stole, aż wyjdą ze swej ziemianki Komendant z szefem Sosnkowskim. Widać ich było przez otwarte okno, jak rozmawiają, przemijając za szybą. Zajmowało nas więcej, kiedy wyjdzie Piłsudski, niż to, że przyjechał Wyczółkowski. Znało się go w Krakowie, że malarz, i że różnie, i że kaczące, i że profesor, i że piękne widoki, i że sława.

Cóż wszystkie sławy wobec Komendanta?! Nie byliśmy profesorowi radzi. Pozbawiał nas podwieczorkowej okazji słuchania. Mogło się zdarzyć, że rozmowa nie wyszłaby poza obręb frontowego życia. Ale mogło też wpaść, że Komendant rozgadałby się o wojnach, o powstaniach, czy o rzeczach społecznych. Nie słuchaliśmy to już tych rozmów chociażby w ogniu armat, zapominając, że szrapnele przebiły nam namiot nad głową? Przy profesorze nie zechce się Komendant rozgadać.

Wyczółkowski czekał z nami przy

stole, kiedy nadszedł Piłsudski. Komendant obrzucił mistrza wzrokiem, jak to on: że niby nic, że niby tylko tyle, ile właśnie potrzeba, aby ujęciem przyspatrzeć się gościowi. Ładne to niby nie! Wiedzieliśmy, że żaden szczegół ubioru, czy postaci, nie mówiąc o grze twarzy nie umknie z takiego „niby nic“.

Pan profesor, malarz i mistrz Wyczółkowski był w mundurze piechura-legionisty. Żadnych gwiazdek, żadnych łatek, przyprząsek, czy ozdóbek, żadnych wojskowych smaczków, jakie tak chętnie nawdziewali na siebie różni departamentowcy czy cywile, którzy na front wyjeżdżając stroili się w jakąś specjalną glorię urzędniczo-wojenną.

Żadnych takich! I nie mundur, uszyty specjalnie na szanowną osobę, do figury, z drogiego sukna. Widać, że co profesorowi wydali z magazynu, to zaraz pocziwie na siebie włożył. Wyglądał też w tej przyodziewie wojennej, jakby go z wody wydobyli, tak mu sukno fałdami spływało zewsząd, z bioder, z pleców, cóż dopiero mówić o spodniach!

Jeżeli nic nie mówić o spodniach, to jakże kołnierz przemilczeć, wielkie chomato, z którego szyja sterczała, — badył w chomacie, na badyłu zaś głowa, jak w kuli bilardowej rzucona, taka się drobna wydawała i

twarda. Ażby się chciało stuknąć w ową twardość.

Twarz cała w trójkąt, system trójkątów: kości policzkowe tuż pod okularami, trójkątny nos i usta i broda w ostry trójkąt zaciósana. A za szkłem okularów oczu jakby nie widać; samo tylko spojrzenie, nie liryczne, płomienne, takie, siakie, humanistyczne... Sam tylko blask. Spojrzenie, które świeciło gładzizną ziarna.

Tę to postać jednym rzutem oka ogarnawszy, poprosił Piłsudski do stołu. Wyczółkowski zamierzał uścisnąć gdzieś dalej, Komendant nie pozwolił i przy sobie posadził, ordynansi roznosili herbatę, podawano też czarny chleb dywizyjnego wypieku, oraz kamienne herbatniki.

Wiadomo wszystkim, którzy go znali, jak skromnym człowiekiem był Wyczółkowski. W tej chwili jednak, jeżeli można tak powiedzieć, stał się jeszcze skromniejszym i cichszym. Siedział nieśmiało, popatrywał jasnym światłem spojrzenia na Komendanta, kruszki zbornie zaganiał brzegiem dłoni dokoła talerzyka z herbatą, uśmiechał się wstydliwie, czy nabożnie, czy jak?... Zdało się nam, że nie odczuwa, nie rozumie Piłsudskiego, który przecież nie mówił nie trudnego, bawił się po swojemu i wesołił.

(Dok. n.)



Juliusz Kaden-Bandrowski

Wyczółkowski u Komendanta na podwieczorku

II.)

Osobliwsza to była zabawa i wesołość, świadcząca zresztą, że Komendantowi gość przypada do gustu. Zabawa, która polegała na tym, że Komendant mówił o drobiazgach powszednich, o pogodzie, ziemi włońskiej, piasku, deszczu, różnych drobnych przypadkach życia obozowego. Ale zaraz cały w tym wszystkim był, wesoły, groźny, nieobliczalny a to jego łagodne, aksamitne ujęcie potoczności wynikało jakby zawsze z granitowej podstawy charakteru. Każda uwaga, uśmiech każdy świadczyły o głębokiej refleksji, stawały się lekkie, radosne, jak gdyby w mimowolnym przeciwieństwie do moocy, którą przesłaniają tylko w danej chwili.

Nie mogliśmy zrozumieć, czy Piłsudski żartuje z profesora, czy też go prowokuje? Czy też dla jakichś

* Por. nr. wczorajszy.

ważnych a nam nieznanych celów jest teraz właśnie wobec profesora, jakim jest w samej rzeczy, rozradowany bujnością życia, uszczęśliwiony działaniem pośród wszelakich przeciwności, piasków, deszczów i niepogody, dywizji, brygad, wojny i całej Polski, która wciąż jeszcze nie wie, czego ma chcieć naprawdę!

Wyczółkowski miał wiedzieć, czego ma Polska chcieć? Siedział przy owym podwieczorku, jakże by tu określić sylwetę profesora? Siedział, jak gdyby pod kamieniem. Jak gdyby drobny uszczęśliwiony jakiś stwór małoważny schowany pod kamieniem, patrzący na grozę potęgi. Tak właśnie patrzył, wychylając ku górze głowę, niczym spod glazu. Gdy się obrządek podwieczorku zakończył, profesor poprosił Komendanta o pozwolenie robienia szkiców pejzażowych na odcinku I-ej Brygady.

— Szkiców pejzażowych, — prze-

straszył się Piłsudski radosnym wybuchem głosu. Ależ proszę pana profesora, proszę bardzo.

I oto wszystkie łaziki brygadowe, łącznicy konni, piesi, ciągnący od postoju brygady do pozycji swych pułków, wszystkie włóczęgi okopowe, telefoniści, artylerzyści, kawalerzyści, prowiantowcy przeciągający rozjeżdżoną piaszczystą drogą od postoju brygady obok starego cmentarza wólczckiego ku pozycjom zauważyły pewnego dnia na onymże cmentarzu jakiegoś starego leguna ze sztalugami, jak tam łaził i siedział i znów łaził i znowu zadomowił się przed jakąś sosną na cały boży dzień. Cóż ich to obchodziło, czy się nazywa Wyczółkowski, Rembrand czy Velasquez?

Nic. Obchodziło ich więcej, że łazi po wólczckim cmentarzu, że się kręci między sosnami, pod którymi jako że stare, że olbrzymie, że rzucają zażywny cień, tak przyjemnie odpocząć. Odpocząć i pogadać, popalić papierosa, pospać, pomarzyć!

Gdzie marzyć jak nie na tym cmentarzu? Jeśli nie tu, to chyba nigdzie na świecie. Nagrobek rzecz nie straszna żołnierzowi, a nagrobek chociażby bliski lecz sprzed kilku

miesięcy, to historia tak dawno miniona! O nagrobek oprzeć wyladowany plecak, czy wesprzeć się, czy usiąść na murawie. A tu jeszcze gdy wzgórze zacienione wiekowymi sosnami, którym kręcił wiatr przez setki lat, one zaś się broniły, nie dawały i w konarach, gałęziach zatrzymały całe to zwiewne, może straszne, zarazem jednak cudne pożycie nieba z ziemią, że teraz tochną tylko powagą i ogromem, wysokie a zarazem rozłożyste, straszliwe a radosne. Myśli w tych sosnach, jak w całym życiu, a zarazem zwyczajne drzewa i niby jeszcze drzewa a już chyba świątynie i niby tylko sosny, a już chyba samo tylko błogosławieństwo, sama tylko religia zielona, niestrudzona i wieczyście szumiąca.

Wyczółkowski wygnał z owego miejsca czarownego wszystkich łazików, bez kłótni i bez walki a tylko pracą. Z początku przychodzili, niczego się nie domyślając i przemawiali do niego grzecznie. Nic im nie odpowiadał, no bo zasiadł pod tymi sosnami i malował, czy rysował na umór.

Więc patrzyli, jak długo tak potrafi? Potrafił od świtu aż do zmroku. Czasem pogryzał kamienne schaczki, które mu chrobotyły w

kieszeni i nie nie potrzebował od nikogo, nieruchomy, z daleka jakby grzyb. Więc się nareszcie odważyli spojrzeć na te rysunki. Gdy się im przypatrzeli, uznali jakoś pomiędzy sobą, jakoś bezsłownie, ale całkiem powszechnie, że staremu nie należy przeszkadzać.

Krzyżowały się przecież przy cmentarzu wólczckim nie tylko drogi pułków pieszych, kawaleryjskich, lecz także brygad legionowych. Jak ustaliła się ta wieść, że tam jakiś stary malce na cmentarzu i że nie wolno przeszkadzać mu? Nieodgadniona sprawa żołnierskiego współżycia. Wyczółkowski pozostał sam wśród niebotycznych sosen, mimo że furta cmentarza stała na ścieżaj otwarta, z nieba szedł żar, cienia w pobliżu nigdzie a pod sosnami aż niebieski tak mocny.

Mało tego: nie tylko, że mu nie przeszkadzali, pilnowali, by nikt nie gwizdał, nie wrzeszczał, nie hałasował, kiedy mijali to stare cmentarzysko.

— Nie wrzeszcz, ty dziadu sakramencki, widzisz, że stary siedzi i maluje!

Siedział więc i malował w zupełnej ciszy, jeśli zupełną można nazwać ciszę, którą kłótył nieustanny szum sosen niebotycznych i głuchy

huk baterii, przygotowujących uderzenie Brusilowa na Luck.

Nie widywaliśmy artysty prawie wcale, aż kiedy, osądziwszy widać, że już pracę zakończył, przyszedł znowu na podwieczorek, ażeby pożegnać się z Piłsudskim. Miał z sobą skrzynkę malarską. Nie nasza rzecz pytać się, jak mu poszło i co tam ma w tej skrzynce? Nie pamiętam, jak Wyczółkowski zamawiał z Komendantem, by mu jednakże pokazać swe rysunki: same sosny! Wiecyste to tchnienie, wniebowstąpienie drzew.

Pamiętam błysk podziwu w stalowych oczach Komendanta, kiedy patrzył na te kartony. Wyczółkowski nie mówił nic. Cichy, brązowy, aż na mahoń spalony teraz, spozierał w górę osobliwą poświatą swego wzroku, jakby głodziną ziarna.

Komendant zaś, jak kiedy rozprawił o przyrodzie, iak kiedy marzył o przyszłej wielkiej Polsce, przegladając kartony unosił w górę brwi i rozszerzał swe piękne nozdrza.

Myślę, że się ci dwaj panowie w tej chwili dokładnie zrozumieli: ten pierwszy, płonący zawsze ogniem, ten drugi, przepojony chłodnym sokiem rośliny.

